TOŻSAMOŚĆ · OPINIA

DLACZEGO NIE JESTEM LIBERAŁEM?

Marcin Giełzak · 7 sierpnia 2023

Nazbyt długo intelektualiści i politycy szukali socjalnej bądź konserwatywnej korekty liberalizmu. Ja chciałbym być bardziej ambitny i powiedzieć, że nie lokuję się na prawo ani na lewo od liberała, ale naprzeciwko niego. Czas zaproponować całościową alternatywę, do której może wiele wnieść zarówno refleksja prawicowa, jak i lewicowa, obydwie są bowiem *par excellence* wspólnotowe.

Zanim zaczniemy, słowo ostrzeżenia: ten tekst Wam się nie spodoba. Skrytykuje go socjalista, potępi konserwatysta, centryści będą udawać, że nic nie rozumieją, a libertarianie stwierdzą to samo bez udawania. Stanie się tak w sposób nieuchronny, bo każdy z wyżej wymienionych na dnie swojej politycznej duszy jest liberałem. Czynię takie założenie, bo przyjmuję, że czytają mnie teraz przedstawiciele wykształconej i obytej *klasy dyskutującej*, ta zaś, od prawa do lewa, często bezwiednie powtarza liberalistyczne dogmaty i sofizmaty. Liberalizm to woda królewska polityki: rozpuszcza wszystko, z czym wejdzie w kontakt. Konserwatywno-liberalny znaczy liberalny. Lewicowo-liberalny znaczy liberalny. Istnieje przy tym oczywiście naturalny podział pracy: jedni są aktywni na odcinku liberalnej gospodarki, drugich bardziej zajmują obyczaje, jeszcze innych: sprawy ustrojowe, ale na koniec wszystkie te wysiłki, *jakby prowadzone niewidzialną ręką*, służą jednej sprawie: powiększeniu domeny osobistej autonomii. Indywidualizm stanowi tutaj być może nie wspólne miano, ale na pewno wspólny mianownik.

Równocześnie jednak uważam, że jeśli jest cokolwiek gorszego niż liberalizm, to musi być tym antyliberalizm. Jasne jest więc, że rzecznicy „suwerennych demokracji na dumnych peryferiach" w rodzaju Węgier albo Kuby również odejdą rozczarowani. Wszystkie te izolowane reduty stanowią raczej politologiczne ciekawostki aniżeli realne wyzwanie rzucone panującej ideologii. Ekonomiczne i moralne bankructwo komunizmu jest faktem notoryjnym, a więc niewymagającym dowodzenia. Model budapesztański określa się zaś poprzez negację. „Demokracja nieliberalna" wskazuje na to, czego jej brak: wolnych mediów, uczciwych wyborów, niezawisłych sądów. Viktor Orbán proponuje nam leczenie przez amputację.

Potrzeba nam polityki nie antyliberalnej, ale postliberalnej, której celem nie będzie przekreślenie dorobku liberalizmu, ale jego przekroczenie. Innymi słowy, nie ufam postliberałom, którzy nie znaleźliby niczego dla siebie u J.S. Milla, Johna Actona czy Benedetta Crocego. Nowa umowa społeczna i przyszły konsens muszą zawierać w sobie wszystko to, co osiągnęliśmy wcześniej. Zajechaliśmy przecież dość daleko żółtym tramwajem, również jako prawicowi i lewicowi *fellow travellers*, akceptujący z grubsza wolnościowe urządzenia ustrojowe, gospodarcze i obyczajowe. Na przystanku „neoliberalizm" czas jednak wysiąść… zwłaszcza że wiele wskazuje na to, że nasz tramwaj niebawem będzie wracał do zajezdni, dziś jednym z najpoważniejszych zagrożeń dla wolności jest bowiem to, co nazwałbym autorytarnym liberalizmem.

CZYTAJ TAKŻE: Antylewica – o problemach prawicy z własną tożsamością

Do tego wątku jeszcze wrócimy, bo nie chcę z obrony swobód przynależnych jednostce czynić głównej osi mojego argumentu. Polityka jest religią kolejności, mówię zatem bez wahania, że najpierw są wyższe i ogólniejsze zobowiązania, a dopiero później osobista autonomia. Ta ostatnia ma wartość wielką, ale wymierną. Wolność jest marzeniem niewolnika, ludzie już wolni powinni myśleć w kategoriach służby. Pamiętajmy też, że dostojne tytuły, takie jak „minister" czy „samuraj", w językach, z których pochodzą, nie oznaczają nic innego, jak „sługę".

> To, czy służyć będziemy Bogu, narodowi, ubogim, prawdzie czy pięknu, zostawiam indywidualnemu wyborowi. Wszyscy jednak powinni służyć wspólnocie, która ich wydała i uformowała. Potrzeba świadomych tego zobowiązania ludzi, aby stworzyć i podtrzymywać republikę, państwo rozumiane jako dobro wspólne wszystkich obywateli. Należy ponadto zacząć znów myśleć w kategoriach wolności zbiorowej, której najlepszym i najpełniejszym przykładem jest narodowa niepodległość. Historia uczy, że to ona jest najlepszą gwarantką także i swobód jednostki.

I tak jak Republika to więcej niż brak króla, tak *demos* to coś więcej niż lud. Demokratyczny suweren składa się z obywateli, a zatem z tych, którzy nie są ani panami, ani niewolnikami, bo wszyscy powinni być wolni i równi. Nikt jednak nie rodzi się obywatelem, ale staje się nim, odebrawszy specyficzną formację i edukację, które sprawiają, że będzie umiał współdecydować o losach wspólnoty. Republikę demokratyczną tworzą nie powszechny dostęp do swobód czy bogactw, ale powszechność określonych cnót, w innych reżimach nieznanych. Pierwszą i najważniejszą z nich jest dbałość o to, co wspólne, jako fundament obywatelskiego humanizmu i republikańskiego wyznania wiary.

Liberalizm tymczasem przydaje się przy pracy ukierunkowanej na dobro wspólne jak szklany młotek. Wynika to z samej jego intelektualnej konstytucji, która z punktu widzenia każdego wspólnotowca, lewicowego czy prawicowego, musi brzmieć jak syllabus błędów. Rozważmy jej „artykuł pierwszy", ten najbardziej nieodzowny, głoszący, że podmiotem wszelkiej polityki musi być jednostka. Tutaj nawet lewicowiec musi zapytać za arcyreakcyjnym Josephem de Maistre'em, gdzie jej szukać. Znamy Polaków i Japończyków, mężczyzn i kobiety, bogatych i biednych, ale jednostki nigdy nie widzieliśmy. Człowiek rodzi się zupełnie bezbronny i zależny od innych. Dorasta, będąc kształconym i chronionym przez instytucje, na których powstanie i działanie nie miał żadnego wpływu. Wchodzi w dorosłość, uformowany przez zwyczaje i poglądy typowe dla jego kultury i epoki, poszukując spełnienia, które jest osiągalne wyłącznie w relacji do innych ludzi: małżonka, dziecka, przyjaciela, współpracownika. Umiera zaś równie zdany na lekarzy i rodzinę, jak wtedy, gdy pierwszy raz otworzył oczy. Mityczną jednostkę tworzą tysiące lat historii, setki relacji i dziesiątki instytucji. Może się ona buntować przeciw temu wszystkiemu, czasem wręcz powinna, ale z pełną świadomością, że jest to bunt kwiatu przeciw jego korzeniom. Wspólnotowiec tymczasem rozumie, że wszyscy jesteśmy „skądś", a dla większości z nas ojczyzną nie jest strefa wolnocłowa, a domem – hotel. Nie odmawia ludziom prawa do odmienności, ale jest zdecydowany bronić prawa do tożsamości. Zna wartość więzi kontraktualnych, ale ceni także trwałość i bezwarunkowość tych organicznych, które tworzą rodzinę, lokalną wspólnotę, związek wyznaniowy czy zawodowy, wreszcie naród. Nie może się też zgodzić, z powodów wyżej opisanych, z głębokim przekonaniem liberałów o samo-

wystarczalności człowieka, zarówno na planie materialnym, jak i tożsamościowym.

Błędna koncepcja człowieka wymusza kolejną pomyłkę, czyli niewłaściwą definicję społeczeństwa, jawiącego się jako zbiór zatomizowanych jednostek, które łączą najwyżej czysto umowne relacje. Dalej, słyszymy często, że jednostki te z natury rzeczy muszą konkurować ze sobą o dobra, pozycję i prestiż, co czyni życie społeczne grą o sumie zerowej. Liberałowie, istotnie, wolni są w dużej mierze od uprzedzeń względem rasy, płci czy orientacji seksualnej, dla nich ludzie dzielą się bowiem jedynie na dwie grupy, które nazwał po imieniu Emmanuel Macron, otwierając strefę startupową w 2017 roku: „ci, którzy odnieśli sukces, oraz ci, którzy są niczym". Inne tożsamości mają znacznie o tyle, o ile da się je zmonetyzować. Branża zajmująca się wydawaniem książek, organizacją szkoleń oraz doradztwem biznesowym w zakresie tego, jak nie być rasistą albo w jaki sposób uwrażliwić się na „mikroagresje" dała nam już licznych milionerów. Marsze równości mogą wykluczać fundacje, które pomagają kobietom wyrwać się z prostytucji czy internetowej pornografii – psują one bowiem inny dochodowy biznes – ale z radością witają delegacje koncernów zbrojeniowych, które przemalują swoje logo na tęczowo. Dla tych ostatnich to drobny wydatek do wpisania w kolumnę zatytułowaną: *public relations*. Producenci filmów, seriali czy gier wyznają „różnorodność", gdyż pozwala ona dotrzeć z ich produktami do większej liczby grup demograficznych.

Nie brakuje ludzi na prawicy – jak i samej lewicy – którzy wszystko to nazywają lewicowym, czy nawiązując do języka bolszewickiego: „lewackim". Nie sposób pomylić się bardziej. Ogół trendów i tendencji, które nazywamy wokeizmem, to najdoskonalsze narzędzie do niszczenia lewicy od czasów faszyzmu. Releguje ono rzekomego radykała do roli krytyka *status quo* za pieniądze i na warunkach jego największych beneficjentów. Nie chodzi już o równość, ale o „reprezentację"; walczymy nie z wyzyskiem, ale z „uprzedzeniami"; zmieniamy nie realia życia i pracy, ale „dyskurs". Poza tym jest to prosta i skuteczna technika z gatunku „dziel i rządź", zamyka ona bowiem ludzi w wąskich tożsamościach, uniemożliwiając solidaryzm zbudowany wokół tożsamości szerszych, np. klasowych czy narodowych. Czyni braterstwo niemożliwością. Nikt tu nie śni, jak Paul Éluard, „o wielkim tłumie, w którym każdy jest przyjacielem"; tu każdy jest konkurentem albo przedstawicielem grupy uciskanych bądź uciskających, choćby jedni i drudzy byli biedni i wykluczeni. Rozdarte po tych szwach społeczeństwo prawdziwie staje się zbiorem wyalienowanych, osamotnionych jednostek. Fragmentacja postępuje bowiem w miarę umacniania się liberalizmu. Nawet mniejszościowa kategoria, taka jak „gej" albo „czarny", staje się zbyt ogólna i nazbyt opresyjna. Hiperindywidualiści, których rynek produkuje, chcą wierzyć, że jest tyle płci, ilu ludzi; tyle orientacji seksualnych, ile fetyszów. Przekaz jest prosty i wyrazisty, jak wielki bilbord, który krzyczy z pobocza drogi: „bierz swoje pragnienia za rzeczywistość!" Wystarczy, że je wypowiesz, a rynek znajdzie już sposób, aby je zaspokoić. Jeśli nie w rzeczywistości, to chociaż symbolicznie i performatywnie.

CZYTAJ TAKŻE: Wolność przeciw liberalizmowi

Jeśli jednak będziemy mieli śmiałość zapytać o wszystko to, co powinno interesować zarówno wspólnotową lewicę, jak i prawicę, zatem o poziom życia, jakość usług publicznych, trwałość małżeństw, problemy z uzależnieniami etc., wtedy dostaniemy komunikat perfekcyjnie odwrotny: „bierz rzeczywistość za swoje oczekiwania". Prekaryjna praca wypchniętych na fikcyjne samozatrudnienie, pozbawiona zabezpieczeń socjalnych, przedstawiana jest jako przejaw przedsiębiorczości. Mieszkanie w mikrokawalerce mniejszej od więziennej celi to wybór młodego pokolenia, podyktowany innymi priorytetami i stylem życia. Mieszkanie na kupie z obcymi ludźmi to innowacyjne *sharing economy*. Rozwód i aborcja to nie osobiste drama-

ty, ale – jako dwie źrenice osobistej wolności – w zasadzie liberalne sakramenty. Harówka, niszcząca zdrowie i życie rodzinne, otoczona jest kultem, którego kapłanami są popularni i dobrze opłacani specjaliści od rozwoju osobistego. Nawet kultura staje się odtwórcza, jakby produkowana taśmowo przez inżynierów rozrywki wertujących wyniki badań rynku. Silne społeczeństwo szukałoby rozwiązań edukacyjnych, prawnych albo socjalnych, aby sobie z tymi problemami poradzić; wspólnota słaba, którą preferuje liberalizm, uczy się je normalizować. Nie jest przypadkiem, że Margaret Thatcher, znana ze słów, że „nie ma żadnej alternatywy" (wobec liberalnej ekonomii), przy innej okazji miała stwierdzić, że „nie ma czegoś takiego jak społeczeństwo". Skoro zaczęło się od błędnej wizji człowieka i społeczeństwa, to nie sposób skończyć z pomysłem na państwo, które miałoby służyć dobru wspólnemu.

> Liberalizm u władzy szybko zamienia się w antydemokratyczny technokratyzm, który cel ma odwrotny: bronić ustanowionego przez siebie porządku przed społeczeństwem. Kadry państwowych menedżerów biorą na siebie zadanie bieżącego administrowania, politycy odgrywają teatr wojen kulturowych. Kto więc rządzi? Rynki finansowe, które dzierżą prawo weta względem wszystkich decyzji demokratycznie wybranych prezydentów i premierów, a w ostatecznej instancji — trybunały, w ostatnich dekadach zamienione w „trzecie izby parlamentu", które stały się faktycznym suwerenem, niczym spartańscy eforowie.

Za sprawą działalności jednych i drugich możemy mieć pewność, że co nie jest liberalne, szybko okazuje się niegospodarne, nieracjonalne albo wręcz nielegalne. Osłabione państwo narodowe i wywłaszczony *demos* i tak wydają się jednak liberałom zbyt groźne, dążą więc oni do tego, aby jak najwięcej ich kompetencji przekazać Unii Europejskiej, która zapewni bardziej profesjonalne administrowanie oraz uniemożliwi przechwycenie władzy przez niewłaściwych ludzi. Brukselskie instrumentarium jest jednak niepełne, stąd w rolę gwaranta praw kardynalnych od czasu do czasu musi wejść liberalne hipermocarstwo w postaci Stanów Zjednoczonych. Lęk przed niedouczonym i niedomytym ludem sprawia, że współczesny liberalizm musi szukać tego rodzaju ograniczeń dla ludowładztwa, a obawa przed państwem, które mogłoby się stać narzędziem w rękach szerokich mas, każe występować przeciw jego wzmacnianiu.

Wynika to z samej intelektualnej konstytucji liberalizmu, która czyni z niego raczej narzędzie krytyki politycznej niż uprawiania polityki. W proponowanej przez niego optyce polityczna gra nie ma celu innego aniżeli przestrzeganie reguł gry. Znajdujemy się więc w sytuacji, w której najwyższa polityczna rzeczywistość, jaką jest państwo narodowe, zastąpiona jest przez nierzeczywistość czysto kontraktualną. Potępiony musi być też patriotyzm, jeśli nie wprost, to *de facto*, jest on bowiem najlepszym lepiszczem dla wspólnoty. Wzgardliwie traktowana jest narodowa historia i kultura, nie dostarcza ona bowiem umiejętności cenionych przez rynek pracy urządzany przez zachodnie korporacje. Poza tym zgłębianie i internalizowanie tych nieznośnie partykularnych wspomnień oddala od ideału generycznego producenta i konsumenta, którego jednakowość w zakresie gustów, potrzeb i zachowań pozwala w pełni wyzyskać sprzedażowy efekt skali. Naturalnie polityka dobra wspólnego musiałaby wychodzić z założeń idealnie odwrotnych. Państwo nie jestem więzieniem, ale domem – chciałoby się powiedzieć za szwedzką socjaldemokracją, że jest *Folkhemmet*: domem ludu; naród nie jest przypadkowym zbiorem jednostek czasowo zamieszkujących dane terytorium, ale rodziną, której członkom należy się wsparcie; wspólna przeszłość nie

jest koszmarem, z którego próbujemy się przebudzić, ale materiałem, z którego utkane są nasze sny o lepszej przyszłości.

Liberalizm daleki jest jednak od tego, aby upaść pod ciężarem własnych sprzeczności. Bliscy myśli zachowawczej krytycy, którzy twierdzą, że liberalizm zawiódł (przykładem Patrick J. Deneen), dowodzą, że nie pojęli jeszcze istoty spraw. Liberalizm niczego nie obiecuje, a wszystkiego dotrzymuje. Nie jest jego celem ani obrona dorobku przeszłości, ani obietnica lepszej przyszłości. Nie da się nawet utożsamić go z postępem, bo ilekroć zapytamy, w czym miałby się w praktyce przejawiać, odpowiedzią jest drwina. Niemożliwością okazuje się zapewnić każdemu mieszkanie, godną pensję, dostęp do lekarza czy jakościową edukację. O jakim zaś postępie tu mowa? Technologicznym być może? Ten jednak może mieć miejsce nawet w najbardziej represyjnych reżimach, co poświadczą kapitanowie przemysłu III Rzeszy, sowieccy uczeni czy chińscy przedsiębiorcy.

Kolejne klęski i kryzysy liberalizmu oraz ustanowionego przez niego ładu: kryzys finansowy 2008 r., globalna pandemia COVID-19, wojna rozpoczęta rosyjską agresją przeciw Ukrainie, rosnąca zależność Wolnego Świata od Chin, w żadnej mierze nie podważyły jego dominacji. Przeciwnie: najbardziej rozpowszechnioną opinią jest ta, że zmiany i poprawy należy szukać w ramach istniejącego systemu. Innymi słowy, nie da się wyobrazić sobie alternatywy względem liberalizmu i kapitalizmu, która natychmiast nie zostałaby wyśmiana jako utopijna albo totalitarna. Nie można nawet punktowo krytykować biedy, wykluczenia, bezrobocia czy marnotrawstwa, są to bowiem zjawiska „naturalne", zupełnie niczym susza albo huragan. Wszystko, co wykracza poza istniejące *status quo*, z definicji stoi więc w sprzeczności nie tylko z „naukową" i „historyczną" wiedzą (a raczej: gnozą), ale wręcz ze zdrowym rozsądkiem. Filozof Fredric Jameson miał stwierdzić: „łatwiej sobie wyobrazić koniec świata niż koniec kapitalizmu". Najlepiej problem podsumował jednak gwatemalski rolnik, który zapytany przez Ryszarda Kapuścińskiego, czemu jego ludzie – biedni, poniżani, wyzyskiwani – się nie zbuntują, odrzekł spokojnie: „Bo nie mam świadomości, señor". Liberalizm nie wygrywa za sprawą przemocy czy propagandy, nawet nie dlatego, że jest bardziej produktywny, ale dlatego, że nie można sobie wyobrazić alternatywy względem niego. Nawet krytyka liberalizmu pracuje na jego rzecz i za jego pieniądze. Socjologowie nazywają to interpasywnością: oglądamy, powiedzmy, *Sukcesję* i jesteśmy miotani między oburzeniem a *schadenfreude*, podziwiając tragifarsę wystawianą przez amerykańskich miliarderów. Aktorzy odgrywają za nas nasz antykapitalizm, a my możemy dalej konsumować: posłusznie i z czystym sumieniem.

Całe państwa postępują podobnie. Nasza partia rządząca poddała bez walki reformę systemu fiskalnego, służby zdrowia, szkolnictwa wyższego, transportu publicznego, mieszkaniówki. Transfery gotówkowe podtrzymują jej politykę socjalną, a tym samym władzę, na tej samej zasadzie, na jakiej lina podtrzymuje wisielca. Przekaz jest prosty i czytelny dla wszystkich: nie naprawimy szpitali, ale damy pieniądze na to, abyście od czasu do czasu poszli do prywatnej kliniki; nie zbudujemy mieszkań, ale damy lepsze warunki kredytowe, aby bank i *developer* nie odeszli z pustymi rękami. Ten rozwód retoryki z rzeczywistością widzimy też na przykładzie polityki imigracyjnej, która dziś sprzyja masowej, niekontrolowanej migracji z Azji i Afryki pod dyktando pracodawców. Oto paradoks: nie ma boga prócz Leszka Balcerowicza, a Jarosław Kaczyński jest jego prorokiem. Brak odpowiedniej infrastruktury oraz polityki proasymilacyjnej może nas skazać na to, że w dalszej perspektywie żyć będziemy w kraju, w którym egzystować będą oddzielone od siebie i wrogie względem siebie wspólnoty równoległe. Lepszym rozwiązaniem byłoby zaprosić nowo przybyłych do naszej wspólnoty i do polskości, ale to wymagałoby sprawnego

państwa i społeczeństwa silnego stworzonymi przez siebie instytucjami pośredniczącymi (związki zawodowe, fundacje, kooperatywy itd.) oraz asertywną samoorganizacją. Tego mieć nie możemy, zostaje nam więc liberalna doksa, że najważniejszy jest PKB.

> Nazbyt długo intelektualiści i politycy szukali socjalnej bądź konserwatywnej korekty liberalizmu. Ja chciałbym być bardziej ambitny i powiedzieć, że nie lokuję się na prawo ani na lewo od liberała, ale naprzeciwko niego. Czas zaproponować całościową alternatywę, do której może wiele wnieść zarówno refleksja prawicowa, jak i lewicowa, obydwie są bowiem *par excellence* wspólnotowe.

Ich długa ewolucja stała się przyczyną swoistej konwergencji. Prawicowiec nie wie, kiedy mówi rewolucją, a mówi przecież regularnie o „państwie narodowym", „suwerennym ludzie", „prawach człowieka", a nawet „naturalnych granicach". Konserwatystami nazywa się dziś ludzi, których żyrondyści wyrzuciliby ze swojego klubu za radykalizm. Źródłem prawa w Ameryce, Anglii, Francji czy Polsce jest rewolucja i nikt tego prawa z tej racji nie podważa. Lewicowiec nie wie zaś, kiedy przemawia poprzez niego dwadzieścia wieków religii. U zarania każdy socjalizm był socjalizmem chrześcijańskim, później dopiero zsekularyzowanym. Głód sprawiedliwości ma ewangeliczny rodowód. O brytyjskiej Labour Party mówiono, że więcej zawdzięcza Mateuszowi i Markowi niż Marksowi i Engelsowi. Odrodzona w 1987 r. podziemna PPS stwierdzała w swojej deklaracji programowej: „bliżej nam do społecznej nauki Kościoła niż do marksizmu". Ewangelia płynie w żyłach Europejczyków, bez względu na ich wierzenia oraz przekonania. Wszyscy piszemy przy dwóch świecach – jedną zapaliła teologia, drugą filozofia. Wspólnie też wyznajemy swoisty humanizm, jeden ożywiony Wcieleniem, inny Oświeceniem, co nie będzie bez znaczenia wobec nadchodzącego transhumanizmu.

Socjaldemokracja przepracowała dwa wielkie, choć pozorne tylko paradoksy lewicowego programu. Pierwszy: socjalizm jest możliwy wyłącznie „w jednym kraju", trzeba mu bowiem silnego, sprawnego i kulturowo spójnego państwa narodowego. Drugi: planowanie gospodarcze i niezbędna koordynacja możliwe są wyłącznie w warunkach gospodarki rynkowej, tylko ona bowiem zapewnia sprzężenie zwrotne umożliwiające racjonalne sterowanie sprawami ekonomicznymi. Słusznie pisał więc Bettino Craxi, że wolny rynek przeżyje kapitalizm. Rymuje się z tym zarzucanie nacjonalizacji wielkich przedsiębiorstw, z wyjątkiem tych, które z przyczyn strategicznych bądź społecznych powinny być własnością publiczną. Upaństwowienie – argumentował Anthony Crosland w bardzo wpływowej pracy *The Future of Socialism* (1946) – jest środkiem do celu, nie zaś celem samym w sobie. Poza tym doświadczenie komunizmu unaoczniło wielu socjaldemokratom, jakie niebezpieczeństwa płyną z uczynienia rządu wszechpracodawcą. Powoli lewicowcy uczą się też tego, że klasa ludowa, której pragną być instytucjonalnym adwokatem, jest znacznie bardziej zachowawcza i przywiązana do wartości takich jak rodzina czy Ojczyzna, niż wielu mogłoby się wydawać.

CZYTAJ TAKŻE: Źródła rozkładu Zachodu. Na bezdrożach indywidualizmu

Wydaje się, że podobną pracę „przewartościowania wszystkich wartości" wykonują już (socjal)konserwatyści, którzy pojęli, że w warunkach panowania liberalizmu „wszystko, co trwałe rozpływa się w powietrzu, wszystko, co święte zostaje zbezczeszczone". W istocie, jeśli prawica miałaby zachować swoją pa-

nekonomiczną ortodoksję (którą ja nazywam prawicowym marksizmem), to znaleźlibyśmy się w świecie, w którym lewica mogłaby się stać bardziej konserwatywna od konserwatystów, bo to ona jedna stwarzałaby realne, materialne podstawy przetrwania państwa narodowego, rodziny, lokalnych społeczności. Poza tym wspólnotowa prawica powinna zdać sobie sprawę, że wojny kulturowe to uboczny teatr zmagań, a ich wściekły opór choćby wobec legalizacji związków jednopłciowych okazał się prawdziwą „wyprawą sycylijską". Podczas gdy wszystkie siły i środki zaangażowano na tamtym odcinku, przegrana została bitwa najważniejsza, bo dotycząca nie niewielkiej mniejszości, ale ogromnej większości. Mam na myśli oczywiście heteroseksualne małżeństwo i rodzinę, które uległy zupełnemu załamaniu.

Adrian Pabst nazywa czasy liberalnej hegemonii „wielkim bezkrólewiem". Aleksander Hercen dopowiedziałby, że gdy stary ład odchodzi, pozostawia po sobie nie następcę tronu, ale wdowę w ciąży. Wszyscy, którzy – tak jak piszący te słowa – urodzili się w latach przełomu, nie znają niczego innego niż jej regencja. Pozostaje naszym wyborem, czy będziemy utrwalać tę wieczną tymczasowość, przeciągać ten dzień bez jutra, czy zdobędziemy się na śmiałość, aby zaproponować nowy początek.

Oryginał: https://nlad-kopia1113.instawp.site/dlaczego-nie-jestem-liberalem/

NIEZALEŻNOŚĆ KOSZTUJE

Utrzymują nas przede wszystkim czytelnicy. Dzięki nim możemy publikować analizy, których nikt nam nie zamawia, i zostawiać je otwarte dla wszystkich.

WESPRZYJ NAS

wspieram.nlad.pl

Zeskanuj, aby wesprzeć